# PRZYIACIEL DZIECI




**Nr. 9.** Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **I. Maja.**

---

# OBRAZKI LITEWSKIE

## Z PAMIĘTNIKÓW W, P.

### Obrazek trzeci.

Odkomenderowany z pułku na posełkę do sztabu jenerała Chłapowskiego, przybyłem do wielkiego dworu, budowanego z drzewa z okazałym frontonem i kolumnami u przodu. Dwór miał już jak się zdawało pretensję pałacu, lecz nie był z wierzchu tynkowany, jak najwięcej dworów szlacheckich na Litwie. Nie wiem jak się nazywała wioska, bo ledwo miej-

sca gdzie stoczono bitwę lub potyczki pamięta się w kampanji; pod frontonem stał szef sztabu, u którego się meldowały posełki, tam też i ja się udałem, upiąwszy u sztachetów konia; szef sztabu nie miał mi nic do powiedzenia i nakazał tylko abyśmy byli pod ręką — był tedy czas popaść konia i rozpatrzeć się w miejscu. Za pałacem rozciągał się wielki ogród, szpalerami starych lip obsadzony, a że to wiosna była i słowik jeszcze spiewał, udałem się do ogrodu, gdzie w ciemnym szpalerze stał furgon jenerała Chłapowskiego i gdzie ludzie jego wierzchowe konie posiodłane trzymali. Dziwnie uderzył mię ten tabor, gniady koń arabski jenerała, szczególnie zaś furgon, przy którym warta stała, bo w nim bywała i kasa korpusu — cały furgon był zakryty skórą z żubra, a przy skórze zostawiono racice i cały łeb żubra, z kędzierzawą grzywą, okazałą brodą i prześlicznemi rogami. Łeb zwieszał się z furgonu i okazalszego rydwanu nie widziałem jak żyję; był to prawdziwie królewski furgon, nakryty skórą króla puszczy.

Powróciwszy z ogrodu do sztabu, zapytałem jednego z sztabowych oficerów zkąd tę z żubra skórę dostali? bo lubo już wyschnięta, nie była wyprawiona i widocznie świeża. Tu usłyszałem taką historję: Brzegiem białowieskiej puszczy przesunął się korpus jenerała Chłapowskiego na Litwę i na jednej stacji przyszedł do jenerała leśnik uzbrojony dobrą strzelbą i oświadczył że chce iść do powstania.

— Dobrze, rzekł jenerał, i polecił żeby go zapisać, i żeby razem z innymi wykonał przysięgę. Gdy go jenerał krótko odprawił, nie chciał odchodzić- ale stoi nieśmiało w miejscu i zapyta:

— Czy wy starszy dobrodzieju?

Jenerał poczał się niecierpliwić.

— Ależ bo ja nie darmo pytam; mam żonę i dzieci i chciałbym z wami pójść do powstańców, ale w domu niemam nic, prócz soli; otoż proszę was, pozwólcie mi zabić żubra, to ja go nasolę i nie będzie w domu głodu aż przepędzimy moskali.

— A mnie co do tego? rzekł zniecierpliwiony jenerał.

Z zadziwieniem spojrzał leśnik na jenerała.

— Jakto? zapytał ja myślał że wy to już na siebie odbieracie, to się dozwalam czy w puszczy żubra zabić wolno, bo to wielka kara u nas za to.

Spostrzegł się jenerał że niebacznem słowem mógł tu zwichnąć zaufanie ludu Jak zawsze przytomny i trafny w odpowiedziach swoich, rzekł:

— Wydać kwit na jednego żubra, ale skórę oddać mi całą, odeszlę ją do gabinetu warszawskiego.

Zaledwo można sobie wyobrazić radość sztabowych oficerów, gdy jenerał na zabicie żubra zezwolił. Litwin wskazał w stronę puszczy i rzekł:

— Jak usłyszycie strzał, to przybywajcie co prędzej, a będziecie widzieć żubra.

Jakoż gdy usłyszawszy strzał na koń siedli i ruszyli oficerowie sztabowi, spotkali już na drodze lecącego leśnika, bez czapki z rozczochranemi włosami i z rozognioną twarzą, który do nich krzyczał:

— Jest! jest! i lecąc przed końmi prowadził ich na miejsce gdzie żubr sztofem powalony leżał; z rany otwartej płynął jeszcze strumień krwi, strzał ugodził w samo serce. Tak się dostała skóra owego żubra na jeneralski furgon, a leśnik nasoliwszy mięso, zjawił się po dwu dniach znowu w obozie, który był się już odsadził znacznie od białowieskiej puszczy.

Około jedenastej godziny ukazał się jenerał przed gankiem; adjutant od służby ustawił posełki w szeregu a jenerał przejrzawszy szereg rzekł do mnie:

— Jak się masz — chodź!

I udałem się za jenerałem do pokoju. Tu stał żyd, blady i widocznie przestraszony, a jenerał rzekł do mnie:

— To przewodnik — Tu depesze — oddasz je jenerałowi Dembińskiemu; w Leoniszkach stał jeszcze wczoraj.

A po francusku dodał:

— Niemam wiele zaufania do tego żyda; dziesięć rubli mu dasz jeśli cię przeprowadzi, i tu wręczył mi jenerał owe dziesięć rubli; jeżeli nie będzie chciał lub mógł, to radź sobie.

Jeden z adjutantów wyprowadził żyda i nie wzbudzało to wiele zaufania gdym do stajni sztabowej wszedł, gdym widział że żydowi pod koniem nogi związano na siodle a mnie dano cugiel w ręce. Gdym około mego pułku przejeżdżał, zapytał mię major Hordyński niecierpliwie:

— Coż to za ekspedycja?

— Do Leoniszek, odpowiedziałem, z depeszami.

— Puść żyda! rzekł major, ja dam bezpiecznego człowieka, co cię do Leoniszek lasami przeprowadzi.

Puściłem żyda, a dobrze znany mi żołnierz z pułku naszego ruszył ze mną zaraz za wsią na manowce w lasy.

Zmierzchać już się dobrze poczynało gdy się górą przetarła puszcza i gdyśmy przed sobą ujrzeli pasiekę, chatę i poletki, żołnierz zostawił konia przy mnie, pałasz, lancę, okrył się sieraczkiem i obejrzawszy pistolety w pasie podsypał je nanowo i zwrócił się do chaty; po chwili wyszedł z leśnikiem, rozmawiając spokojnie i w tej to chacie wypadło nam podnocować — bo dalej były tak grząskie błota, tak przepaściste rojsty, że na naszych koniach jechać już nie można było; leśnik tedy ugościwszy nas i umieściwszy nasze konie w szopie, udał się do sąsiedniego zaścianka i sprowadził około północy trzy konie okulbaczone lekkiemi łęgami, na których dalej nam się przeprawiać wypadło. Gospodarz nasz dostał także języka w tej drodze o moskalach i kiedy powrócił był bardzo dobrej myśli i zapewniał że się najkrótszą, ale bardzo złą drogą do Leoniszek dostaniemy bezpiecznie. Po wieczerzy z wieczora usnąłem był trochę, wszakże gdy nasz gospodarz

około północy z końmi powrócił, ozwały się nasze konie rżeniem i zerwałem się z ławy na której gospodyni z wieczora wyściełiła była łoże. Oba z żołnierzem wypadliśmy do sieni, ale poznawszy gospodarza, widzieliśmy że to płonny postrach.

— Jeszcze do dnia kawałek, rzekł nam gospodarz; nim się śniadanie uwarzy, spocznijcie jeszcze trochę.

Żołnierz mój wyszedł do koni a powróciwszy drzemał razem z gospodarzem koło pieca. Mnie już nie było do snu i leżąc na ławie patrzyłem na rządy naszej gospodyni.

Już z wieczora rozczyniła była na chleb, a teraz poczęła w piecu palić, kiedy u stóp moich w szczelinie chaty zatknięta łuczyna słabo oświecała izbę. Co chwila, gdy się dopalała, zakładała gospodyni nową i błękitny dymek z łuczyny przeciągał się równą warstwą ku ognisku. Widocznie pozbawiliśmy tych dobrych ludzi snu; wcześniej pobudziły się dzieci drobne z płaczem i obsiadły niewiastę, która je przymatulała do siebie. Dzieciom się zdawało że to już dzień, więc odziała je potem w koszulki, podpasała każde i klękła z niemi do pacierza. Nie umiem wyrazić jakie wrażenie obudził we mnie ten pacierz po litewsku mówiony, ale czułem to że go Bóg słucha — Nie umiem wyrazić jakie wspomnienia z młodości obudził we mnie.

Zmówiłem pacierz, którego już od dawna nie mówiłem, nie dlatego żebym nie był myślał o Bogu, ale dla tego że nie było czasu zmówić pacierza przy pułku; w pułku naszym spiewały szwadrony zawsze w marszu godzinki, jeśli spiewać było wolno w marszu. Ale do porannych i wieczornych pacierzy nie było czasu. Jak rosa niebieska tak odwilżył duszę moją ten pacierz dzieci w chacie leśnika i uczułem to głęboko że źródłem wszelkich cnót jest ognisko domowe i ten pacierz, którego się przy matce uczy dziecię. Gorąco tedy modliłem się wówczas, nie prosząc ani o zwycięstwo oręża naszego, ani o życie i zdrowie, ale o to jedynie aby Bóg lud ten w wierze utwierdzał i na losy jego wejrzał.

Śniadanie było już gotowe i podpłomyki piekły się przed piecem, gdy się znowu podniósł gospodarz i wyszedł do koni, już też i dnieć poczynało i pąsowo zaczęło się malować okno chaty. Okno bowiem niebyło szkłem założone, ale przezroczystemi gontami żywicznej sośniny. Po raz pierwszy opatrzyłem się tak w chacie dokładnie. Wieniec czosnku był przewieszony na oknie, jak mi mówiono, od powietrza a właśnie panowała wówczas cholera. Na pułce nad piecem spały dzieci, między oknem był nakryty stół a na nim leżał miód, chleb i sól. Wyżej trochę na ścianie obraz Matki Boskiej. Ubrałem się i kiedym stanął przed chatą spiął się do mnie z przyspy wąż.

— A kysz! a kysz! zawołała gospodyni, trąciła z lekka węża i napowrót wsunął się do nory wąż, który pilnował chaty i obcemu wnijścia wzbraniał, równie jak pies domowy.

Do razu tedy ujrzałem się w Witołdowej Litwie, woniejącej smołką; bo cała Litwa pachnie wonną smółką, albo dymem smółki—woń tę czujesz w żywicznych lasach, w polach i przy zbliżeniu się do sadów.

Sam dziś tego nie pojmuję jak w owych czasach można było robić tego rodzaju postrzeżenia; zapewne dla tego że litewski lud i życie jego jest tak zupełnie odmienne od fizjonomji reszty naszych ziem i krajów.

Pożegnawszy gospodynię naszą ruszyliśmy przed wschodem słońca dalej. Tu podziwiać przyszło rasę litewskich koni; przesiadłszy się z naszych rosłych na nie, nie czuliśmy prawie jak nas przez bagna niosły, krocząc tam po wierzchu, gdzie nasze luźne konie częstokroć po brzuch zapadały.

Około dziesiątej godziny z rana przybyłem do Leoniszek i zastałem jenerała Dembińskiego we dworze. Na krańcu lasów pożegnał nas nasz przewodnik i wskazał nam tylko Leoniszki. Siadłszy na jednego konia, puścił dwa drugie luzem i szły powolnie za nim.

Od jenerała Dembińskiego dowiedziałem się że idziemy na Szawle i że napowrót do jenerała Chłapowskiego powracać nie mogę, bo pomiędzy korpusami obudwoma są już moskale; jakoż tu dopiero dowiedziałem się żeśmy się przeprawili w pobliżu moskiewskiego obozu, o czem nam przewodnik ani słowa nie mówił. Zostałem tedy przy sztabie jenerała Dembińskiego i nazajutrz ruszyliśmy ku Szawlom.

---

# PIEŚNI OBOZOWE

(z nowych Pieśni Janusza).

---

## Przy odgłosie bębnów.

— — — — — — — —

(WERBEL)

Hej fajfry, tambory!
Na pola, na bory!
Z narodem, z narodem, z narodem!
Kto sercem ochoczy
Niech przodem wyskoczy
A pójdziem za jego przewodem!

(WERBEL)

Hej fajfry, tambory!
Na pola, na bory!
Niech bagnet jak piorun się wije!
Sztandary rozwinąć
I pobić lub zginąć!
A matka Ojczyzna niech żyje!

---

## SYGNAŁ.

(NA TRĄBKĘ.)

W krwawem polu śrebrne ptaszę —
Poszli w boje chłopcy nasze
Hu! ha!
Duch gra!
Krew gra! ha — ha —

Niechaj matka zna,
Jakich synów ma!

Obok orła znak pogoni, —
Poszli nasi w bój bez broni!
Hu ha!
Duch gra!
Krew gra! Ha — ha —
Matko Polsko żyj!
Jezu! Marjo bij!

---

# WĄŻ.

Węże żyją jedynie w gorących i w umiarkowanych strefach. W gorących krajach są największe i najjadowitsze. Wąż nazwany Boa, którego rycina przedstawia dochodzi trzydziestu stóp długości. Przebywają one najchętniej w wilgotnych, bagnistych miejscach. Im klimat jest gorętszy, tem żwawsze, uwijają się rade i wygrzewają na słońcu; gnuśnieją w jesieni a całkowicie zaumierają w zimie, nim wiosna powoła je znowu do życia. Wówczas także lenią się, czyli wyzuwają z dawnej skóry a przybierają nową. Większe rodzaje wężów nie podlegają otrętwieniu zimowemu, bo żyją tylko w gorących krajach. Wszystkie węże mogą żyć w wodzie, gdzie łatwy żer dla siebie znajdują, muszą jednak ciągle wynurzać głowy i zaczerpywać powietrza do życia im niezbędnego.

Mniejsze węże żywią się płazami i robakami — duże zaś i jadowite rzucają się nawet na pantery i tygrysy. Połykają one zdobycz swoją całkowicie nie odzierając z szerści i skóry, rozgniotą ją tylko w paszczy jeśli za duża.

Węże znajdujące się w kraju naszym pospolicie nie są jadowite. Najobficiej znajdują się w Litwie wśród bagien i lasów. Przywiązują się one do miejsca a zagnieździwszy koło której chaty, nie oddalają się już ztamtąd i nic złego mieszkańcom nie czynią. W pogańskich wiekach Litwin czcił

węże jak Bogi; pobyt ich w domu swym uważał za wróżbę dobrego powodzenia, żywił je troskliwie, szczególnie mlekiem które bardzo lubią — drób jedzą chętnie także. I dzisiejszy wieśniak litewski pielęgnuje swoje domowe węże, dzieci się nawet z niemi bez trwogi bawią.



Nietylko wodne węże, ale i żyjące jedynie w jaskiniach, odwiecznych gruzach, piwnicach zawsze są zimne jak ryby. Niewiasty indyjskie w porze upałów często biorą na szyję węża dla ochłody. Kobiety dzikich plemion niektórych piękną łuską pokryte węże noszą dla ozdoby na piersiach i rękach. Rozumie się że z jadowitym potworem nie uszłyby takie żarty. Wąż otoczony potomstwem swojem a napadnięty z nienacka spiesznie pochłania w paszczy drobiazg wszystek i umyka z nim. W bezpiecznym miejscu, składa go dopiero powoli napowrót z paszczy na ziemię.

Węże składają jaja i wygrzewają je jak ptaki; pożyteczne są w lekarnictwie, i w niektórych krajach służą za pożywienie, nawet najzjadliwsze, po odrzuceniu z paszczy pęcherzyków mieszczących jad w sobie.

# Poselstwo tureckie w Warszawie.

Był zwyczaj że gdy na tronie polskim zasiadł nowy monarcha, wyprawiał posła do Porty Ottomańskiej z zapewnieniem o swej życzliwości, i chęci dotrzymania dawnych traktatów i nawzajem gdy nowy sułtan wstąpił na tron turecki, z podobnemi oświadczeniami wyprawiał posła do Polski. Podobnież stało się w roku 1755. Na tronie polskim siedział August III. Sas; pod jego panowaniem Polska spokojnie kosztowała owoców dawnych swych zwycięstw, a szlachta zależawszy pole, nie przewidywała zagrażających zkąd inąd niebezpieczeństw i marnowała czas na kłótniach i procesach; poważnione stronnictwa zrywały sejmy, zapomniawszy że robiąc sobie na przekor, w grób wpędzają ojczyznę, wszędzie bawiono się, ucztowano, bankietowno, a dokoła rozlegał się okrzyk:

**Za króla Sasa jedz, pij, a popuszczaj pasa!**

W owym to czasie, a mianowicie w samym końcu lutego, roku wspomnianego powyżej, zbliżył się do granic polskich, otoczony swoją drużyną, poseł nowego sułtana i spieszył do Warszawy, aby imieniem swego pana złożyć królowi Augustowi oświadczenie życzliwości i przyjaźni i Rzeczpospolitę polską zapewnić że życzeniem jego jest aby obadwa narody pozostały nadal w zgodzie wzajemnej.

O ile ważnem i pożytecznem było to poselstwo dla kraju, o tyle zapowiedziane przybycie Turków budziło zajęcia w Warszawie, a że wszelkie ceremonjały publiczne są zawsze i wszędzie ciekawą, szczególniej dla młodzieży, osobliwością, przeto starsi i młodsi niecierpliwie oczekiwali na wjazd posła tureckiego do stolicy.

W owych czasach podróż od granic tureckich aż do Warszawy nie była tak ułatwioną jak dziś, nie było nietylko ko-

lei żelaznych, ale nawet poczt regularnych, a poseł wraz z całym swoim orszakiem odbywał drogę konno; ztąd też długo, bardzo długo czekano w Warszawie na jego przybycie. Minął marzec, kwiecień i maj końca dobiegał, a Turków jak nie było tak nie było.

Przybyli nareszcie. Ludność warszawska tłumnie wysypała się na ulicę. Na siwym niewielkim koniu, w bogate rzędy przystrojonym, z buńczukiem u łba, jechał wolno starzec poważny, z siwą brodą i zawojem na głowie; był to sam poseł. Otaczało go kilku Turków także bogato ubranych; za nimi szła kareta poselska, ale nie sądźcie że była w czemkolwiek podobna do wspaniałych i kosztownych pojazdów, jakich panowie nasi używali w owych czasach; był to prosty wóz, nakształt bryki furmańskiej, okryty suknem pąsowem, suto rozwieszonem, zaprzężony sześcią koni. Za bryką postępowała służba, dosyć ubogo odziana, każdy miał na sobie krótki kaftan, szerokie płócienne szarawary i lichy zawój na głowie. Orszak ten konwojowały dwie polskie chorągwie, z których jedna szła przed, druga za nim. Poseł kazał wskazać sobie pałac Hetmana wielkiego koronnego, i jego powitał najpierwej, a następnie udał się do mieszkania które dla niego i jego całej drużyny było od dawna przygotowane.

W kilka dni potem mieszkańcy Warszawy byli świadkami innej ceremonji. Poseł turecki jechał środkiem miasta do pałacu saskiego na audjencję do króla. Tą razą siedział na królewskim koniu, bogato i wspaniale przybranym, a urzędnicy poselstwa, którzy należeli do jego orszaku, także nie na swoich lecz na królewskich koniach jechali. Gdy się zbliżyli do pałacu, wojsko ustawione na dziedzińcu dało trzy razy ognia na znak powitania, i toż samo się powtórzyło gdy poseł ze swoją świtą powracał do siebie.

Królowi Augustowi oprócz wyrazów przyjaźni i przychylności, przywiózł poseł turecki w podarunku trzy dzielne konie z bogatemi rzędy i kilka kosztownych makat. August na-

wzajem posłał sułtanowi rozmaite naczynia stołowe szczerozłote, śrebrne i porcelanowe.

Po audjencji u króla nastąpiła audjencja w senacie. Poseł turecki jechał na nią z taką samą okazałością jak poprzednio, lecz tutaj już go nie witano i nie żegnano wystrzałami.

W obecnośći króla siedzącego na tronie, wszyscy senatorowie zajmowali miejsca z odkrytemi głowami. Turcy zaś nigdy nie zdejmują zawojów, aby więc nikt nie czuł się obrażonym, wszyscy senatorowie za wejściem Turków do sali, na znak dany przez marszałka w. k. wdziewali czapki, i siedzieli w nich tak długo, aż się audjencja nie skończyła.

Poseł turecki bawił w Warszawie trzy tygodnie. Panowie polscy wyprawiali uczty dla niego, i przyjmowali go z największym przepychem, obdarzali go kosztownemi podarunkami i wszelkiemi sposobami starali się utrzymać dawną tradycję o gościnności polskiej. Turek także chcąc przynajmniej w części odwzajemnić się senatorom i dygnitarzom koronnym, obdarzał ich cybuchami, lulkami, kapczuchami i t. p.

W kilka miesięcy po odjeździe posła tureckiego z Warszawy król August III. wysłał do sułtana Jana Mniszcha, podkomorzego litewskiego, w poselstwie od siebie i Rzeczypospolitej, z powinszowaniem Sułtanowi wstąpienia na tron.

---

## Szlachetny czyn.

Bardzo piękny przykład opowiem wam, kochane dziateczki, owoż słuchajcie mię pilnie i wszystko z niego bierzcie sobie do serca i pamięci waszej.

Będzie temu czasu już nie mało, gdy we Lwowie mieszkali bardzo zacni państwo T. W domu ich zawsze pełno

było dzieci. Nie przychodziły one tylko dla samej zabawy z dwojgiem dziatek państwa T. Brońcią i Józiem, ale więcej dlatego że pan T. lubiał dzieciom często śliczne opowiadać rzeczy, co się z książek doczytał, albo sam naocznie widział, bo bywało dawniej daleko podróżował.

— Przychodźcie do nas, kochane dziatki! — mawiał nieraz pan T. a ja wam różności opowiadać będę.

Owoż dziatki tem zaproszeniem coraz więcej ośmielone schodziły się niemal codzień po ukończonych lekcjach domowych do Brońci i Józia, a nie mogąc się czasem doczekać opowiadania, chwytały pana T. za ręce prosząc aby ich powiastką, albo opowiadaniem podróży i przygód swoich zabawił.

Widząc pan T. nieprzepartą ochotę grzecznych dziatek do nauki, opowiadał im po całych godzinach przeróżne historje, dając przytem przestrogi i rady, wiedział bowiem że wszystko co powie, będzie zachowane w pamięci i nie pójdzie marnie. Dziatki nie mogły się nadziękować kochanemu ojcu Bronisi i Józia za tyle wiadomości — a z doświadczenia jego chętnie korzystać przyrzekały i słuchały uważnie, albowiem starszego słuchać zawsze należy.

Niekiedy zaś gdy pana T. nie było w domu, czytał Józio bardzo ładne książki, a wszystkie dzieci pilnie na każde jego słowo uważały, a niektóre z nich piękniejsze ustępy dla lepszego zapamiętania sobie notowały.

— Wiem ja dobrze — mówił Karolek — że nauka jest najpiękniejszą ozdobą człowieka; wystarcza mu za majątek, jak mi powtarza moja mama, oświeca i kształci rozum, prowadzi do cnoty, a tem samem łączy z Bogiem.

— O! jakże to miło uczyć się i wiedzieć tyle rzeczy! — zawołała Julcia.

— Ale chcąc co umieć, potrzeba z ochotą i pożytkiem czytać książki — dodał Marcelek.

— A to sobie codzień czytać będziemy! — rzekła znowu Florcia.

— Józio nam pomoże w czytaniu, bo bardzo płynnie czyta — powiedziała Franusia.

— O! najchętniej uczynię co tylko zechcecie — powie Józio, a był to chłopczyk bardzo grzeczny i uprzejmy, również jak i Bronisia, która była nadzwyczajnie milutką i posłuszną dziewczynką.

Józio i Bronisia kochali się szczerze. Nigdy jedno drugiemu nie wyrządziło nic złego, a gdy przyszły do nich w odwiedziny inne dziatki — ile możności starali się zabawić i uprzejmie przyjąć gości.

Otoż jednego wieczora czytał Józio powiastki pani Hofmanowej, a między innemi o skarbonce glinianej, za pomocą której tyle pomyślnych wydarzyło się wypadków.

— A my między sobą nie moglibyśmy takiej skarbonki zaprowadzić — przemówił Poldzio — a możeby się dało co dobrego za zabrane pieniądze uczynić?

— O! dobrze, dobrze! — zawołały dzieci — wyśmienity pomysł! Co tydzień każde z nas włoży do niej po jednym grajcarze, a kto będzie przy zabawie niegrzeczny nałożymy na niego haracz, że będzie musiał włożyć dwa grajcary do skarbonki. I tak uzbiera się z czasem niemała sumka.

I zgodziły się na to dobre dziatki, a otrzymawszy od swoich rodziców pozwolenie, kupiły skarbonkę i jak przyrzekły co tydzień święcie dotrzymywały danego słowa.

Józio zapisywał wszystko co do skarbonki wpływało. I tak po jednym roku było już około pięciu reńskich a w przeciągu trzech lat urosła suma do dwudziestu reńskich i kilku grajcarów.

Radziły tedy działki co z temi pieniędzmi uczynić, ponieważ skarbonka była napełnioną i nie było już miejsca do chowania więcej pieniędzy.

— Kupimy sobie ciasteczek, fig i cukierków i sprawimy sobie ucztę — mówiły jedne.

— Kupmy kilka książek do czytania — radziły drugie.

— Ej książek mamy dosyć, sprawmy sobie wózek do jeżdżenia — odezwała się któraś z dziewcząt.

— I to dobre i to dobre, ale my co innego wymyślimy ażebyśmy potem nie żałowali — rzekli chłopcy.

I na tem skończyła się obrada.

Właśnie kiedy się jednego dnia jeszcze o tem namyślali, wchodzi do pokoju młody chłopiec ubogi i prosi o jałmużnę.

— A coś ty za jeden? — pyta się Bronisia.

— Ja jestem biedny chłopiec — powiada on — nie mam rodziców, bo mi przed rokiem pomarli. Chciałem pójść do rzemiosła mając wielką chęć do nauczenia się czego pożytecznego, ale mię nikt nie chce przyjąć, albowiem suknie mam podarte, brakuje mi bielizny i butów — muszę więc chodzić po żebraninie.

I rozpłakał się biedny chłopiec, a dzieci tak się wzruszyły na jego widok, że i im mimowolnie stanęły łzy w oczach.

— Nie płacz chłopczyku — rzeknie Karolek — my cię tu poratujemy.

— O! jakiż on biedny, niema kochanych rodziców, chce się nauczyć jakiego rzemiosła a nie może!... Dajmy mu z tych pieniędzy chociaż pięć reńskich — powie Franusia.

— O! nie, ja myślę inaczej zrobić — zawoła Józio — Pójdę do Taty i poradzę się czy pozwoli na to żebyśmy mu

kupili za te pieniądze odzież, a potem oddali do rzemieślnika na naukę.

Uczynił jak powiedział, a życzenie pomyślnym skutkiem uwieńczone zostało, albowiem Tatko przystał na wypełnienie tak szlachetnego uczynku.

I kupiły dobre dziatki sukienki dla biednego chłopca, któremu Oleś było na imie i oddały go za pośrednictwem ojca Józia do pewnego bardzo porządnego krawca na naukę.

I cóż powiecie na to kochane dziatki, gdy wam powiem że Oleś teraz jest jednym z najlepszych rzemieślników w Warszawie, a że jest pracowitym i porządnym, każdy daje do niego robotę.

Pracą i oszczędnością dorobił się pięknego majątku, ma bowiem kamienicę murowaną i sklep bogaty, w którym suknie sprzedaje.

Z największą zaś wdzięcznością modli się on do Boga za dobroczynne dziatki, które go z ubóstwa wybawiły i nastręczyły mu sposobność zyskania sobie dobrego bytu, poważania i szacunku, jakiego dzisiaj powszechnie doznaje.

Otoż widzicie, drogie dziatki, jak to czasem łatwym sposobem robić można wielkie dobrodziejstwa, a do tego nie potrzeba tylko szczerej chęci i dobrej woli.

*J. z B.*

---

*Przyjaciel dzieci* wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna **Aniela Zawadzka.** Drukiem K. Pillera 1863.